

THE
PERFECT
— *fit*

BRAKUJĄCY
ELEMENT



SADIE KINCAID

THE
PERFECT
— *fit*
BRAKUJĄCY
ELEMENT

PRZEŁOŻYŁA REGINA MOŚCICKA



TYTUŁ ORYGINAŁU:

The Perfect Fit

Redaktorka prowadząca: Marta Budnik

Wydawczyni: Ewelina Czajkowska

Redakcja: Justyna Yiğitler

Korekta: Kinga Dąbrowicz

Projekt okładki: Adelina Sandecka

Zdjęcie na okładce: © Tadamichi, © Natt, © Robsonphoto, © Line pro / Stock.Adobe.com

Wyklejka: © ra2 studio / Stock.Adobe.com

DTP: Maciej Grycz

THE PERFECT FIT

© 2023 by Sadie Kincaid

Published by the Agreement with The Seymour Agency, USA and Book/lab
Literary Agency, Poland in addition to any copyright line that may be required
to establish copyright in the actual translation.

Copyright © 2026 for the Polish edition by Niegrzeczne Książki an imprint
of Wydawnictwo Kobiecte Agnieszka Stankiewicz-Kierus sp.k.

Copyright © for the Polish translation by Regina Mościcka, 2026

Wszelkie prawa do polskiego przekładu i publikacji zastrzeżone. Powiela-
nie i rozpowszechnianie z wykorzystaniem jakiejkolwiek techniki całości
bądź fragmentów niniejszego dzieła bez uprzedniego uzyskania pisemnej
zgody posiadacza tych praw jest zabronione.

Wydanie I

Białystok 2026

ISBN 978-83-8417-700-6

Grupa Wydawnictwo Kobiecte | www.WydawnictwoKobiecte.pl



Bliss



PROLOG

WEST

Najpierw słyszę płacz i mimowolnie wzdycham. Zawsze ten płacz. Tym razem tuż po nim dudnią kroki w holu. Natychmiast się rozpraszam, odrzucam czytane czasopismo i posyłam spojrzenie siedzącemu na drugim końcu pokoju Xanderowi. Ten przewraca oczami, podnosi się z kanapy i wychodzi jej naprzeciw, żeby zapobiec kolejnej scenie.

Xander zawsze był jej ulubieńcem – jedynym z nas, który potrafił przemówić jej do rozsądku. Podejrzewam, że została z nami tylko ze względu na niego. Mam jednak wątpliwości, czy w takim momencie nawet on zdoła ją przekonać, żeby u nas została. Dobra, przyznaję, ze względu na jej doświadczenie i rekomendacje zakładałem, że wytrzyma u nas nieco dłużej, ale nie da się ukryć, że przez nią atmosfera w naszym penthousie gęstnieje.

Ebony – która właśnie rzuciła się biegiem przez hol prosto w rozłożone ramiona Xandera – to nasz ostatni obiekt eksperymentów.

Nasz królik doświadczalny, jak zwykł o nich mówić Zeke. Wyttrzymała trzy miesiące, co jest jednym z lepszych wyników. Ale tylko dlatego, że Zeke się przy niej hamował. Aż do dzisiaj. Ostrzegałem ją przed nim, ale twierdziła, że sobie z nim poradzi. Najwyraźniej sobie nie poradziła.

Kiedy się nam ukazuje, właśnie zakłada przez głowę jedną ze starych bluz Xandera. Zdążyłem jednak dostrzec na jej tułowi ślady po zębach i czerwone pręgi po uderzeniach.

– Co za pieprzone zwierzę! – szlocha, ocierając łzy z policzków.

Zaciskam szczęki, zmuszając się do milczenia. Wolę zostawić tę sprawę Xanderowi. On nam załatwił tę kobietę, więc to jego zadanie, żeby się jej pozbyć. A Zeke wcale nie jest zwierzęciem. Ma swoje problemy, ale wszyscy jakieś mamy. Ebony również. O tak, ta to dopiero ma problemy.

Xander szepcze jej do ucha uspokajające słowa, a ona przywiera do niego całym ciałem. Ściska kurczowo w palcach materiał jego T-shirtu nawet wtedy, gdy Xander wygłasza swoją starannie przećwiczoną mowę o tym, że nadszedł czas się rozstać. Miał wielką nadzieję, że z nią się nam poszczęści. Nie żeby jakoś specjalnie się do niej przywiązał, ale przyrzekł sobie, że Ebony będzie ostatnią, z którą spróbujemy.

W teorii wydawała się dla nas idealna. Jednak żadna kobieta nigdy dotąd nie zdołała stanąć między Xanderem, Zekiem a mną, chociaż wszystkie bez wyjątku próbowały.



LILY

– Ej! Uważaj, debilu! – krzyczę za oddalającymi się tylnymi światłami taksówki, która ochlapała mnie lodowatą wodą z kałuży.

Mamy pierwszy tydzień kwietnia, więc powinno się już ocieplić, ale wciąż się tego nie doczekaliśmy. Betty, mój rower, zaczyna skrzypieć, gdy przyśpieszam, próbując rozgrzać pedałowaniem drętwiejące w szybkim tempie z zimna nogi. Założę się, że lada dzień na dobre odmówi mi posłuszeństwa.

– Jeszcze tylko kilka tygodni, kochana – mówię półgłosem, poklepując delikatnie ramę. – Jak tylko dostanę swoją wielką szansę, wyślę cię na zasłużony odpoczynek.

Skręcam w prawo w kierunku Central Parku. Tak na marginesie, gdzie dokonują żywota stare rowery? Na złomowisku? Na pewno nie moja Betty! Poklepuję ponownie rower uspokajającym gestem po kierownicy.

– Można by z ciebie zrobić lannerską ozdobę ogrodu w jakiejś burżujskiej rezydencji pod miastem – szepczę i w tym momencie moim oczom ukazuje się imponujący biurowiec XWZ.

Gdy wchodzę do lobby, uderza we mnie fala ciepłego powietrza. O raju, jak przyjemnie. Zdejmuję kask i z westchnieniem przeczesuję loki. Nienawidzę zakładać tego diabelstwa, ale cenię sobie swój nieuszkodzony mózg...

Wprowadzam Betty do stojaka przy schodach, rozsuwam zamek kurtki i w drodze do recepcji taksuję wzrokiem efektowne wnętrze. Tysiące razy przejeżdżałam obok tego biurowca i zawsze intrygowało mnie, jak wygląda w środku. Właśnie tak, jak sobie wyobrażałam – cały jest ze szkła, stali i marmuru. Zimny i bezosobowy. Podejrzewam, że tak samo, jak jego trzech właściciele.

Za kontuarem recepcji siedzi mężczyzna o surowym wyrazie twarzy, w ciemnoszarym garniturze z bładoniebieskim krawatem. Mierzy mnie wzrokiem, gdy się do niego zbliżam.

– W czym mogę pomóc?

Wyjmuję z plecaka grubą kopertę bąbelkową.

– Mam przesyłkę dla pana Archera. Wymaga jego podpisu.

– Mogę mu ją zanieść – rozlega się za moimi plecami czyjś głos.

Wywracam oczami. Gdybym dostawała dolara za każdym razem, gdy to słyszę... Które słowo w zwrocie „Wymaga jego podpisu” jest dla ludzi niezrozumiałe? Odwracam się na pięcie.

– Muszę mieć jego...

O rajuniu! Czy ten facet właśnie zszedł z planu reklamy jakiejś mega luksusowej wody kolońskiej? Dosłownie opada mi szczęka. Dalsza część zdania więźnie mi w gardle, bo usilnie próbuję otworzyć się do niego nie ślinić.

Przygląda mi się z uniesioną brwią, bez wątpienia przyzwyczajony, że kobiety reagują na niego w ten sposób.

– Jego co?

– J-jego... – Tłumię rozmarzone westchnienie, które omal nie wyrwa mi się z ust. Prędko się prostuję, zadzieram brodę i spoglądam nieznajomemu prosto w oczy, co wydaje się bezpieczniejszym wyjściem niż gapienie się na jego wyrzeźbioną żuchwę. – Podpis.

Jeden z kącików ust unosi mu się lekko, a wtedy, jak Boga Kocham, wydaje się jeszcze przystojniejszy.

– Mogę podpisać w jego imieniu. – Wyciąga rękę, na co ja ściskam mocniej w dłoni białą kopertę.

Przekrzywiając głowę, lustruję uważniej wzrokiem jego rysy twarzy, już nieco oswojona z jego wyglądem. Przynajmniej na tyle, na ile to możliwe w przypadku pełnokrwistej heteroseksualnej kobiety.

– Czy rozmawiam z panem Archerem?

Jego półuśmiezek przechodzi w pełny uśmiech, od którego miękną mi nogi. Jak ten facet radzi sobie na co dzień? Kobiety muszą wyskakiwać z majtek, gdy mijają je na ulicy.

– Nie. Ale zapewniam cię, że nie miałby nic przeciwko, żebym odebrał za niego tę przesyłkę. – Przysuwa się bliżej, przez co narusza moją przestrzeń osobistą. Nie aż tak, by było to widoczne z boku, lecz wystarczająco, aby dać mi to odczuć. Każdą częścią ciała. Pachnie też fantastycznie. Ciekawe, co to. Woda kolońska? A może i bez niej pachnie równie dobrze, jak wygląda, bo urodził się pod szczęśliwą gwiazdą. – To co? – ponagliła mnie, uprzytomniając mi, że czeka na odpowiedź.

Chcę odchrząknąć, żeby mieć pewność, że nie odezwę się piskliwym tonem i nie zdradzę mu, jak na mnie działa. Prędzej umrę, niż pozwolę, żeby ten nieznajomy arogancki przystojniak pomyślał sobie, że na niego lecę.

– Przesyłka wymaga podpisu pana Archera – odpowiadam zaskakująco spokojnym i zdecydowanym tonem, mimo że mam miękkie kolana.

Śmieje się pod nosem.

– Powie mi pan, gdzie go mogę znaleźć?

Pociera dłonią policzek i zmrużonymi oczami sonduje moją twarz. Najwyraźniej próbuje ocenić, czy jestem godna stanąć przed słynnym Westem Archerem. Zupełnie jakbym kiedykolwiek miała ochotę poznać tego zimnego drania. Najchętniej zostawiłabym mu tę jego przesyłkę pod drzwiami w torebce z psim gównem, ale to moja praca, w dodatku jak na razie jedyna. Więc z czym Ciacho ma problem?

W końcu, po najdłuższych kilku sekundach w moim życiu, Ciacho się odzywa:

– Jasne, właśnie idę do jego biura. Proszę za mną.

Wskazuje głową windy, po czym się odwraca i odchodzi. Spoglądam prędko na mężczyznę z recepcji, ten daje mi przyzwolenie skinieniem i ruszam za Ciachem. Kiedy wchodzimy do windy, opiera się plecami o tylną ścianę, rozkłada ręce na boki i opiera dłonie o wypolerowane chromowane poręcze. Winda jest większa niż kuchnia, w której jadłam dziś rano śniadanie, a mimo to jego sylwetka i tak dominuje w przestrzeni. Stoję wciśnięta w kąt, możliwie jak najdalej od niego, i próbuję ignorować, że mi się przygląda swoimi błyszczącymi rozbawieniem błękitnymi oczami.

Rumieniec wpełza mi na policzki, gdy dociera do mnie bolesna prawda o tym, jak teraz wyglądam. Lewą nogawkę džinsów i dolną połowę grubej kurtki mam doszczętnie przemoczone. Zrobiłam dziś na rowerze czterdzieści pięć kilometrów, a to moja ostatnia przesyłka, więc moje włosy z pewnością wyglądają jak miotła. Szczególnie w zestawieniu z jego wymuskaną elegancją. Gładko ogolona twarz. Włosy w kolorze piaskowy blond, misternie wystylizowane. Nieskazitelnie biała koszula bez jednego zagniecenia. Plus idealnie skrojony garnitur i buty z najlepszej skóry. Może i jestem chwilowo bez grosza, ale w przeszłości miałam do czynienia z luksusem i dostatecznie dużo wiem o mężczyznach jego pokroju. Od razu widzę, że cechuje go ten specyficzny rodzaj zamożności, przez który jest dla mnie nieosiągalny. I który ułatwia mu zmienianie kobiet jak rękawiczki.

Czuję, jak skóra pali mnie pod jego spojrzeniem.

– Zakładałabym, że taki prestiżowy biurowiec ma lepsze zabezpieczenia – stwierdzam, ogarnięta przemożną chęcią odzyskania kontroli nad sytuacją, zbyt silną, żeby się powstrzymać.

Mężczyzna marszczy nieznacznie czoło.

– Hm?

Odpowiadam mu niedbałym wzruszeniem ramion.

– Mogłabym się okazać kimś zupełnie innym. I przemycić w tej kopercie jakiś dowolny szajs.

Unoszę przesылkę w ręce, by podkreślić swoje słowa. Mężczyzna odkleja się od ściany i w jednej chwili staje tuż przede mną.

– A jesteś kimś innym, Lily?

Moje imię spływa mu z ust gładko jak kropla deszczu z liścia.

– S-skąd znasz m-moje imię?

Opuszcza wzrok na moją klatkę piersiową, falującą w próbie złapania oddechu.

– Jest na twoim identyfikatorze.

Podążam za jego wzrokiem i zalewa mnie fala niewypowiedzianej ulgi. No jasne.

– To masz w tej kopercie jakiś szajs?

Jego głos przybrał zupełnie inny ton, który sprawia, że momentalnie żałuję swoich wcześniejszych słów. Cała jego postawa widocznie się zmieniła.

Dobry Boże, nie mogę oddychać. Uśmiechnięte Ciacho było gorące i seksowne, ale poirytowane, z głosem podszytym groźbą przypomina ogień.

Kręcę gwałtownie głową, aż loki podskakują mi na ramionach.

– Tylko dokumenty.

Posyła mi uśmiech pełen satysfakcji, cofa się o krok i nie spuszczaając wzroku z mojej twarzy, zajmuje swoje poprzednie miejsce przy poręczach.